

Nad zatoką

Przełożył Miłosz Wojtyna

Z samego rana zeszliśmy na ląd w jakimś przypadkowym miejscu. Zakątek jak każdy inny. Ot, kaprys. W pewnym sensie. Nie najgorszy w skutkach.

Trwało już tak zwane wczesne lato. Rzędy rosnących gęsto drzew kontrastowały z jasnym błękitem nieboskłonu. Biały piasek. Płatnina soczycie czerwonych gałązek i kłoczy tworząca pas krzewów na skraju plaży oddzielała ją od linii drzew. Błękit bielił się od mewich akrobacji. Wołano.

Czekaliśmy. Wiedzieliśmy, a przynajmniej zakładaliśmy z dużą dozą prawdopodobieństwa, że nie uwiną się zbyt prędko. Choć czasu było pod dostatkiem. Rozłożyliśmy się na piasku. W wodach zatoki trudno było zauważyć jakikolwiek prąd. Lekko słońca toń niespiesznie oblewała brzeg. Promienie słońca rozpraszające się na wodzie układały się w coraz to inne kształty. Plusk koił nerwy.

Planetę interesowaliśmy się od dawna – od kiedy pierwszy raz znaleźliśmy częstotliwość ich fal radiowych. Wiadomości nadawane niby pospiesznie w bezkresną pustkę (która kryła więcej, niż sądziliśmy). Gdy już udało się dopracować narzędzia tak, by odbierały sygnał z tej małej biało-niebieskiej kuli, zaczęliśmy nastuchiwać ich trajkoczącą mowę, tych popiskiwań w językach, które przypominały piski stworzeń po omacku ryjących ziemię. Patrzyliśmy. Słuchaliśmy. Czasu było pod dostatkiem.

I wtem zapadła cisza. Nagle cały ten jazgot i rejwach umilkł. Przez okres, który według naszych obliczeń musiał trwać dla nich całe sto lat (dla nas czas płynie, rzecz jasna, zupełnie inaczej), nie docierały do nas żadne odgłosy. Może kilka wątych cierpiętnicznych pojękiwań – lecz i te prędko zamilkły, ustępując przed wszechogarniającą ciszą.

Zajmowało to nas. Interesowało. W niedorzecznym bezkresie wszechświata nieczęsto zdarza się nam rozumieć życie. Gaduły po drugiej stronie fal wciąż oscylowały na granicy tego, co nam znane. Kontakt nastąpił. Wyszliśmy do nich. Zeszliśmy na brzeg.

Lecieliśmy nad tą małą planetą. Wybór kierunku był dość przypadkowy. Skierowaliśmy się na północ. Bez powodu. Wszystko szło jak z płatka, wprost bajecznie. Morza rozległe, barwne aż niewyobrażalnie, a w nich mnóstwo ryb. Widzieliśmy ławice srebrzystych śledzi. Ogromne ławice dorsza parły przed siebie pod warstwą szarych fal. Morskie życie kwitło w najlepsze: foki wygrzewały się na połaciach plaż, porykiwały wieloryby. Na brzegu, na skałach, krzątały się grupki maskonurów. Głuptaki przecinały powietrze. Widzieliśmy doliny i równiny, na których pasły się stada przeróżnych stworzeń. Były tam łąki i step, sawanna i tundra, były też skały. I lasy. I puszcze. Drzewa, mnóstwo drzew. Drzewa różnego typu, olbrzymie, wysokie, pochyle, wąskie i wątte, mocne i stabilne,

migotliwe, poważne, potężne i wdzięczne. Wielkie puszcze. Zieleń, brąz, szmaragd, celadon. Łąd, rzecz jasna, rozdzierały ciemne, poszarpane blizny. Splądrowano miejsca, w których płonął ogień. Chmury i materia sączyły truciznę w ciało tych przestrzeni. Puste połacie, których nie pożarła jeszcze ani trawa, ani zarośla, ani drzewa, ani też woda. Jeszcze – myśleliśmy. Jeszcze – żywiliśmy nadzieję.

Bo przecież do tej małej, kompletnie nieistotnej zatoki powrócił nieśmiały delfinowaty stwór, morświn zwyczajny.

Sądziliśmy, że drzewa nam wszystko powiedzą.

Znaliśmy problemy tamtego świata: w rzekach brud, zakwaszone głębiny wód bez życia, deszcz, który rozmywał skały i drzewa, toksyczne obfoki przesłaniające niebo, straszliwe eksplozje wstrząsające nieboskłonem, w wyniku których świat na całe dekady tracił kształt i życiową energię; do tego muliste morza nieusuwalnych trucizn, które kłębiły się w kolosalnych oceanicznych wirach, odrażające połacie jednorodnych upraw, mroczne i straszne metropolie, z których nie widać gwiazd, i jeszcze krew, i skowyt zwierząt i ludzi (również ludzi) idących na rzeź, mordowanych jak gdyby nigdy nic w straszliwych hekatombach. Tak. Słyszeliśmy szmer rozmów. Widzieliśmy na własne oczy.

A potem cisza. Bezgłos.

Obrazy, które ujrzeliśmy, docierały do nas niemłode. Czuliśmy więc, że czas ruszać. Tak daleko, jak się da. Dokądkolwiek. Teraz.

Jak rozmawiać z inną formą życia – formą całkowicie obcą, tak różną (choć nigdy w zupełności) od nas samych? Przygotowaliśmy się dobrze. Słuchaliśmy.

Dźwięk, owszem. Do tego pewien ładunek. Ruch cząsteczek. Przesunięcie powietrza. Najpierw poczuliśmy niepokój, a potem ostrożne, złowrogie badanie. Za nim zaś – potworny, umyślny gniew, odrazę, wspomnienie.

Czy była to prawdziwa rozmowa? Trudno wyrokować. Doszło z pewnością do pewnej wymiany. Zaiskrzyły punkty styku.

nie ma was tu Powiedzieli. ħħħħħ

Zdradziliśmy więc, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Byliśmy i nie byliśmy. Potrafiliśmy to – tak jak oni potrafili mówić i nie mówić jednocześnie.

nie zostawiacie śladów

jesteście cicho

czekacie

w bezruchu

zmieniacie kształt

Wy też – na wietrze, w promieniach, ze zmianą pogody.

ħħħħħ

Ciekawość.

ssssssssssssssssssss

wiemy co to ciekawość

Ci ludzie...?

hhhhhhhhhhhhhhhhhh

zabiliśmy ich
nie znieśliśmy więcej
w razie potrzeby możemy przemieszczać się szybciej
możemy zatruć powietrze
możemy skazić wody
możemy zdusić oddech
możemy zgasić wzrok
możemy spętać ruch
możemy przeszyc skórę
możemy zburzyć mury czarcich krain
i puścić wolno ognie piekielne
chchchchchchchchchchchchchchchch
teraz lepiej
pójdźmy
było tu przecież miasteczko

Rzeczywiście niewiele zostało: kilka zarośniętych chaszczami niskich pasm muru, pomiędzy którymi, gdzieś w ciepłych od słońca załomach, pojawiło się trochę roślin. Pod stopami czuliśmy małe kamyki. Kopce w miejscach po budynkach. Przeróżne stworzenia biegają w tę i we w tę po powierzchni dawnej ulicy. Lisy, króliki, ryś. Jelenie spoglądały w tę stronę spomiędzy zacienionej roślinności. Wrotycz, Inica, kuklik zwisty, przetacznik, kurzyślep, goryczka wąskolistna, starzec, dziewanna, driakiew lśniąca – wszędzie zdumiewający aliaż wielobarwnej flory. Świerzop. Rozkrzyczane, wesole kawki zamieszkujące sypiącą się, opuszczoną wieżę, jako tako trzymającą się pionu dzięki warstwom gęstego bluszczu, który uwił sobie wokół niej drogę do góry, a teraz podpierał solidnie. Gąszcz upleciony z krzaków porzeczek wydawał się mroczny i pełen tajemnic. Niedługo zaczernić się miały jagody. Drzewa przypatrywały się ze wszystkich stron. Sosny, graby, olchy, klony, dęby, lipy, akacje, topole, buki.

Nie było cicho. Mieszanina dźwięków: popiskiwanie ptaków, krzyk mew, wrzaskliwe harce małych ptaszyn kryjących się w zaroślach, chichot kawek, stukot dzięciołów dziobów. Kopciuszek zwyczajny tańczył na kamyku, zerkał wokoło, aby zaświergotać zaraz ostrym ptasim sopranem. Zimą – wiedzieliśmy o tym dobrze – rozedrgać się miały mamrotania wrono-gawronie i szorstkie ich krzyki. Jesienią – donośny klangor żurawi. Usłyszeliśmy pisk orła przelatującego gdzieś daleko nad zalesionymi wzgórzami. I jeszcze szept miękkich fal dochodzący z daleka. I ten wietrzyk, szumiące korony drzew, ten kojący, kołyszący dźwięk zapraszający do snu.

Gdy przyjdzie na nie czas, nocą wyfruną nietoperze. Po nich ciche ćmy.

Czy ich już tu nie ma?

niektórzy są
my to nie oni
niektórzy zostali

*czy widzicie
czy możecie daleko
Możemy – brzmiała nasza odpowiedź.
stać w otwartej polanie na wzgórzu
nad miasteczkiem
oni przyjdą
jeszcze jedno
dlaczego jesteście
?????
trochę i trochę nie
nie zostawiacie śladów*

Nie ma nas tu. Są różne rodzaje naszych inteligencji. Tylko w ten sposób można pokonać tak wielkie odległości. Wysyła się sygnały chemiczne. Ładunki. Obrazy, które czują.

*u was jest lepiej niż
Niż gdzie?
niż tu było
Niestety raczej nie.
niż tu jest
Wolelibyśmy nie mówić.
ssssssssssssssssssssssssssssss
idźcie sobie*

Z lasu wyłoniła się grupka dwanaściorga ludzi i ostrożnie przekroczyła polanę. Zatrzymali się na nasz widok. Za ubiór służyły im skóry zwierząt, nieśli ze sobą zaostrzone drągi. Twarze ciemnej karnacji, dość ogorzałe. Szczupłe ciała. Przykucnęli. Bali się, jak gdyby przyłapano ich na występku. Natychmiast wyczuli niepohamowany gniew drzew. Szeptali do siebie w języku, którego nie znaliśmy. Ich trajkotu nie mogliśmy słyszeć; co dopiero mówić o rozumieniu.

Jedna z postaci wyszła w naszą stronę. Gdy tylko zdjęła podarte odzienie, ujawniła płeć. Kobieta pokłoniła się drzewom. Reszta złagodniała. Kobieta podniosła kawałek szerniątego drewna (aha! drewna!), który wcześniej niosła owinięty w skórę. Zauważyliśmy plamy koloru i zarys twarzy. Spokojnej kobiecej twarzy. Wyrozumiałej, być może. Kobieta zaczęła śpiewać. Śpiewała słowami, których nie znaliśmy, ale głos niczym z melodyjnej szpuli rozwijał się w powietrze kojącą spiralą.

*Drzewa.
////////////////////*

Wróciliśmy do plaży, aby niedługo potem ruszyć w drogę.